

MARZENA DĄBROWA SZATKO

PRZEZ UCHO IGIELNE

Ogrodowa. Odchodzenie

*...i podprowadza
gdzie asfalt się kończy*
Adam Ziemianin

tu już nic
nie będzie jak było
choćby się wydawało
że to samo dzikie wino
pnie się po balustradach
domy już nie te same

ażurowe werandy
rozsypują się szybko
po szybce po kawałku
opadają balkony
z serduszek i gwiazdek
dziecięją schody
i ogrody wrastają
w niebo

w oknach wiszą jeszcze
porwane firanki chmur
ale gufrowane ściany
sposobią się do odlotu

tylko grzmot pociągu
wciąż ten sam
przetacza się
nad Ogrodową
jakby wszystko było
po staremu

mój samotny cień
wychodzi z cienia
zielonego niegdyś domu
i błąka się
po świeżym asfalcie

z żelazistym obolem
dzieciństwa pod językiem

(Muszyna, wrzesień 2019 r.)

Ogrodowa. Pokój z widokiem

zwykle nie wchodziło się
do tego pokoju

to było królestwo
krochmalonych firan
zakazanych bibelotów
pamiątek albumów
dzierganych serwetek
i świecącej pod sufitem
korony ze złotych paciorków

ciągle kołysze się tam
cętkowany półmrok
koraliki światła turlają się
po sprzętach i podłodze

ciotka klęka właśnie
do wieczornego pacierza
po jej znoszonych plecach
przebiega szloch
zupełnie niezrozumiały
dla dziewczynki
w półotwartych drzwiach

dziewczynka jeszcze tam stoi
urośła i odbija się w lustrze
między dwoma oknami z widokiem
na dojrzewający sad

niebawem odjedzie stąd
i nigdy nie wróci
do zamkniętego pokoju

nowi gospodarze
zdetronizują koralikową koronę
i skażą na banicję
w nieznane miejsce

pobielą ściany
przepędzą popielate powietrze
spomiędzy murowanych kolumn
ganku

odeślą pamięć do lamusa
i zgubią klucz

teraz można tam wejść tylko
przez ucho igielne
za splątana nitką snu
z której robi się
szydełkowe koronki

nic nie będzie jak było

ale będzie

Ogrodowa. Ocalenie

z zielonego domu
zostało już tylko imię
zapisane białymi literami

rozsypały się plisowane
ściany z drewna
odleciały z werandą
szydełkowe zazdrostki

przez szczeliny pamięci
prześwituje czas
zaprzeczony epizodyczny

przy kuchennym piecu
babcia rozdziela jajecznicę
do błękitnych miseczek
z lanego szkła

kuchnia jest ciemna
bo dzień z trudem
przeciska się od ulicy
przez szybki werandy

babcia objaśnia mi
haftowaną mądrość
z makatki nad stołem
bo nie znam jeszcze alfabetu

kiedyś nauczę się składać
litery w zapomniane światy
obrazy miejsc widoki czasów
dokonanych

ale tego nikt jeszcze
nie przeczuwa
gdy mała dziewczynka
czeka w kuchennym półmroku
na niebieską miseczkę
z wytłaczanym szlaczkiem

nikt się nie spodziewa
że po latach
poskłada zielony dom
ze słów
zaczynając od światła
na werandzie

Rynek. Poszukiwanie

miasteczka znikają niepostrzeżenie
pod naszą nieobecność
przenoszą się po kawałku
dom za domem
w inne strony

gdy wracamy ze świata
pamięć w mgnieniu oka
zarasta nowym widokiem

gdzie nie było nic
jest gdzie było
nie ma

próby przebudowy obrazka
są żmudne i mozolne
droga w przeszłość ciemna
jak manowce świtu

prowadzi w gąszcz
czarno-białych fotografii
wije się wśród prześwietlonych
pejzaży błądzi po mglistych
kadrach zawraca

i nagle staje się
przed poszukiwanym
domem przy Rynku
ma się sześć lat albo siedem
i w oczach ten
odzyskany ganek
z poczerńiałych desek
pod niebem
sprzed pół wieku

dziewczynka w różowej sukience
właśnie chce pobiec
opowiedzieć o wszystkim babci

ale już nie czas

bo babcia też zniknęła niepostrzeżenie
między jednym a drugim powrotem

Blżej

czarno-biała fotografia
zamarzniętej Wisły pod Wawelem
rok czterdziesty styczeń

mój ojciec właśnie skończył
osiem lat
to mógłby być ten chłopiec
pierwszy od lewej
w tłumie złapanych
przypadkowo w kadr
przechodniów

ten obok wygląda
na mojego dziadka
wyprostowany krzepki
młodszy od dzisiejszej
wnuczki

obaj trzymają się
trochę z boku
jak zwykle przyjezdni
ale przekraczają rzekę
z wszystkimi
zbliżają się już
do brzegu

ich twarze są jak białe plamki
ledwo muśnięte szarością rysów
czarne okrycia podobne do innych

nic się nie da powiedzieć
na pewno
oni nie oni
znaczy tyle samo
nic mniej i nic więcej
i nie ma to żadnego znaczenia

a jednak dobrze byłoby
móc ich rozpoznać
na tej zamarzniętej rzece
móc się uchwycić
jakiejś pewności
choćby nieprawdopodobnej

gdy wokół tyle cienia

Dług

szukam go wszędzie
jasnego dziecka wypatruję
po wszystkich placach
targowych rynkach i jarmarkach
chłopca z wiązką modrzewiu
rwanego przed świtem
z koszem biednych mirabelek

niekiedy napotykam
jego spłoszone spojrzenie
spod płowej grzywki
znane mi
z jedynej fotografii

wtedy szybko
kupuję owoce gałązki cokolwiek
nie pytając wcale o cenę

spłacam dług
tamtemu zdrożonemu chłopcu
w wysłużonej koszuli
przykrótkich spodniach
i podkolanówkach spadających
na ciężkie trzewiki

nieznanemu chłopcu
który sam szedł do miasta
a ja go nigdy nie zapytałam
o drogę
czy obtarł stopy do krwi
czy ktoś go podwiózł furmanką
czy zarobił choć parę groszy
na ciepłą herbatę albo oranżadę

o tyle spraw nie spytałam
gdy szliśmy razem
przez blisko pół wieku

dlatego teraz jego twarz
majaczy jak słońce
między gałęziami
zdziczałego sadu

czasem świeci czasem
oślepia

Sekwencja

na ostatniej fotografii
babcia Anastazja
ma dwadzieścia dziewięć lat

dwadzieścia dziewięć lat
to nie jest czas
na umieranie

ale suchoty
czas mają za nic

nie wzrusza ich
bezbronny lok nad czołem
niemy trzepot krwi
szarpana rana serca
ani opuszczona dziewczynka
z kokardą jak motyl
która kiedyś urodzi córkę

dalekim imieniem
córka nazwie
swoją lalkę

w celuloidową twarzyczkę
wszepcze tęsknotę
za babcią
znaną tylko z jasnej strony
kamienia

Na zawsze

jaki piękny jest
ten chłopiec
jaki piękny

ma dwadzieścia lat
tyle co ja
wtedy

kędzierzawe włosy amora
lotne stopy hermesa
twoje migdałowe oczy

żadnej skazy
na ciele i obliczu

przynajmniej z tej
widocznej strony
którą udało się zatrzymać
fotografii

co zrobić
z tym nagle objawionym
niby-bytem
z tą zapodziałą w biografii
obecnością

odłożyć na dno pudełka
przedrzeć na pół
spalić na popiół

a przecież to ja
miałam znaleźć
twój pierwszy siwy włos
i pierwszą brunatną plamkę
na dłoni

przecież to ty
miałeś gładzić
moje zmarszczki
i czuwać
nad blaknącą barwą
moich oczu

tymczasem dzieci nasze
dorosły nie nasze

i my nie swoi
nieswoi
na zawsze

Z Księgi Wyjścia

w ogrodzie ostatni krzyk malw
wzniósł się na wysokości
łodyżek

wisienka poroniła ze starości
owoce pomarszczone krople
toną w ziemi dookoła

wiatr obrywa szerniałe gałązki
z ledwo zawiązanymi jabłkami

anemiczne grona porzeczek
przemieniają się na krzakach
w cierpkie wino

drewniany wózek na patyku
wrył się w trawę
kołami do góry
nie odjedzie stąd
z gospodarzami
za ocean

na płocie wciąż jeszcze
suszą się gliniane garnki
niepotrzebne nikomu
jak gipsowy Chrystusik
zostawiony za firanką
na straży zwietrzałych schodów

dom wypuszcza witki
ze skaleczeń w murze
ram okiennych
i dziurki od klucza
roзраsta się
w drzewo szumiące
już cały jest
zielenią psalmem
o porzuconym raj

Pod jesień

kiedy tu przyjeżdżamy zawsze
ma się pod jesień

kobiety patrzą w niebo
i zdejmują pranie

przekwitają floksy
i budki dla ptaków

na bezlistnej gałęzce wisi
jedyna zielona śliwka

las czernieje od szczytów
drzew wbitych
w sine niebo

żyłami gałęzi
wpływa w jezioro
ciemność

Edukacja 1943

mały najeźdźca
w krótkich spodenkach
kuca nad niemiecką rzeką
i woduje papierową flotę

przyjechał tu tylko na lato
w odwiedziny do profesorostwa Hannfriedów
ale już się wiele nauczył
wujek dba o jego edukację

teraz pokazuje mu
jak budować statki
które podbiją świat

razem stawiają maszty
wznoszą konstrukcje pokładów
formują rufy i dzioby
to nie jakieś pospolite
łódki z gazety

potrafią nawet świecić
jak pochodnie nowego porządku
gdy wujek podpała je zapalniczką

szkoda że tylko
przez chwilę płyną z nurtem
te zwiastuny świetlanej przyszłości
potem nabierają wody i toną

ale zdobywcy świata
nie czują żalu
nawet jeśli noszą spodenki na szelkach
wiedzą że zwycięstwo
wymaga ofiar

mały dowódca buduje więc nowe okręty
i całe flotyllę wysyła w dół rzeki
na zatracenie

o budulec nietrudno gazet
nie zabraknie wciąż przychodzą nowe
wiadomości o wygranych
ale wujek Hannfried mówi
że niemieckie łódki winny
patrolować niemiecką rzekę

bo buntownicy chcą ją przejąć

chłopiec szuka o tym wzmianki
w gazecie ale ledwo składa litery
więc wierzy wujkowi na słowo

uwaga zagrożenie na moście
starzec z podbitego narodu
prowadzi dwoje dzieci
śpiewa w nieznanym języku
i – o nieba – uśmiecha się
do chłopca

ale niech wie
z takimi dziadkami
nie rozmawiamy

Wasze nasze

dla Joachima

jesteście tu
nieobecni

stoją wasze domy
z drewnianymi werandkami
przy progach warują
żeliwne pieski
do skrobania zelówek
granic podwórek strzegą
dawno nieużywane trzepaki

prowadzą nas ulicą
oswojone imiona
waszego ojca tego miasta
i naszych pradawnych
władców którzy nigdy
nie widzieli tego miejsca

wasz kurort
mówi teraz naszym językiem

ty też

zaplątani w sieć
niegdysiejszych nazw
ulic i placów
po nitkach planu trafiamy
do wejścia
w przymkniętą przestrzeń
twojego dzieciństwa

błądzisz wzrokiem po elewacji
wiekowego domu
może to
ten balkon to okno
szyby odbijają światło cudze
firanki zastępują
drogę pamięci

słyszę
obcojęzyczny szczebiot dziecka
w ogrodzie
każdy jasnowłosy chłopiec tutaj

to ty na moment
przed wielką wojną
dziesiątki lat
po wielkiej wojnie

czas przyłapany
na gorącym uczynku
wyławia z mroku obrazy
jak owady zatopione w bursztynie

opowiadasz o parku z łabędziami
ciemnej łazience i opuszczeniu
domu gdy odwróciła się historia

przez chwilę
jesteś u siebie

ale gdy się oddaliśmy
zaledwie o kilka kroków
nagle wszystko znika
kamienica aż po dach
zanurza się
w rozbującej zieleni

(Sopot, ulice J. J. Haffnera i Władysława IV, 2013 r.)

Fotografia z Glettkau

trzeba jechać do Glettkau
by cię spotkać
z wiaderkiem i szufelką
na brzegu
czasu

trzeba wziąć cię
za rękę
i poprowadzić
alejką przy sinym
morzu

tak tędy wejdziemy
na plażę
tak zbudujemy
zamek

nikt już nie pamięta
jaki wtedy byłeś
nikt już nie jeździ
do Glettkau

siwymi oczami
oglądasz fotografię
na której stoi
mały chłopiec

jedyną ocalałą
z domu
przy Wilhelmstrasse
dziś Haffnera

tak
zbudujemy zamek
i będziemy w nim żyć
długo i szczęśliwie

(Jelitkowo, 2015 r.)

Kamień

patrzcie na tych szczęściarzy
ocaleli w swoich krótkich
spodenkach sandałkach trzewiczkach
zwiniętych podkolanówkach
marynarskich bluzach

ocaleli z imionami
datami biografiami
w kapeluszach jak aureole
na tle niepokojąco szarego
krajobrazu

stoją we trzech
w malowanym zagajniku
niespełna rok przed początkiem
końca starego świata

jeden z nich niebawem
umrze drugi opuści kraj trzeci
zginie bohatersko dwadzieścia sześć
lat i pięćdziesiąt jeden dni
później

tylko nie wiadomo
od której strony zacząć
liczyć by przypisać
życie twarzy imię godzinie
śmierci

zwłaszcza teraz
2 sierpnia 1913 roku
gdy stoją we trzech
w malowanym zagajniku
na moment przed wyjściem
z atelier Trzemeski
na ludną lwowską ulicę
i wiedzą o tyle mniej
więcej niż ja z górą wiek
później

gdzie szukać koloru ich oczu
cenzurek przyjaźni braterskich
zabaw letnisk i choinek
ze złoconymi żołnierzami

słów szeptanych kochankom
i żonom przysięg i zaklęć kryształowych
kieliszków win pełnych salonów rautów i premier

a to wszystko
jak kamień w wodę
jak kamień
u szyi

Fotografia z Warszawy, 1938

dokąd tak spieszycie
dokąd biegniecie
przechodnie z Marszałkowskiej

dokąd ciągniecie
wasze biedne dwukółki
dokąd pchacie
kolaski z oseskami

dokąd pędzicie
brzuchate samochody
napelnione po brzegi
przepychem ciał

z całym waszym światem
utoniecie niebawem
w szkle z rozbitych witryn
w ruinach waszych domów

nikt nie zidentyfikuje
waszych twarzy zębów
uśmiechów palt torebek
dzieci i dróg
w liniach papilarnych
miasta

zmieni się plan
ulic i życia
układ kamienic i kości
w waszych szkieletach
wydobytych spod gruzu

a nawet jeśli przeżyjecie
sami się nie poznacie
na tej fotografii
sami się nie odróżnicie
w przypadkowym tłumie
przechodniów schwytyanych
o przypadkowej godzinie
z podniebnej wysokości

będziecie mówić
o to mógłbym być ja
ten tutaj
będziecie wskazywać

palcami badać
pod szkłem powiększającym

niepewni istnienia
niepewni siebie

w tamtej plamce
o ledwo zarysowanym kształcie

Po-mijanie

trzy tablice w kościele
a to całe twoje
życie panie Janie
choć i tu nic
pewnego

nawet ostatnia data
pogrzebana w marmurze

ledwo ślad
po żonie czy żonach
po potomkach
po tobie

a przecież byliście
z jaśnie wielmożnych
mieliście dobra zaszczyty
i solidną gałąź
na rodowym drzewie

historia przetaczała się
przez wasz dom
od rozbiorów po powstania
rodziły się wam dzieci
rodziły się wam wnuki

jak łatwo słowa
przeskakują pokolenia
jak biegną
nieuważnie
nie wstydząc się niewiedzy

jak łatwo pomijają
drobne radości
wielkie rozterki
bezdenne rozpacz

szybko i bezboleśnie
mija czas
przeszły cudzy
obce życie łatwo
zmienia się
w wytarte formułki
na kamieniach
po których prędko

prześlizgują się nasze
oczy